

Wreszcie zdecydował się i zaczął szukać oczyma talerzy. Gdy znalazł i widelec, nałożył sobie dużo jakiejś sałaty i kawał pasztetu. Usta miał pełne śliny. Nie mógł wprost oczu oderwać od talerza. Nagle, gdy odwrócił się, by upatrzeć sobie ustronniejsze miejsce, uczył dość silne uderzenie w łokieć. Talerz, wytrącony z ręki, trzasnął o podłogę.

Dyzmę ogarnęła wściekłość. Przed jego nosem bezceremonialnie przepychał się jakiś gruby pan, który nawet nie raczył odwrócić się, by przeprosić za swą niezgrabność. Gdyby Dyzma zdołał opanować swój gniew, na pewno zmitygowałby jego odruch. Teraz jednak wiedział tylko o jednym: ten oto gruby wytrącił mu z ręki jedzenie. Dwoma krokami dopadł winowajcy i z całej siły chwycił go za łokieć.

– Uważaj pan, do jasnej cholery, wybił mi pan z ręki talerz! – rzucił mu w samą twarz.

Oczy napadniętego wyrażały najwyższe zdumienie, a nawet przerażenie. Spojrzał na podłogę i zaczął przeproszać, mocno skonsternowany.

Wokół zrobiło się cicho. Nadbiegł kelner, uprzątnął nieporządek, drugi podał Dyzmie nowy talerz.

Jeszcze w chwili, gdy zaczął nakładać nań tę samą sałatę, nie zdawał sobie sprawy z szaleństwa, jakie popełnił, ochłonał dopiero, gdy znalazł się na ubożu. Nagle zrozumiał, że lada chwila mogą go wyrzucić za drzwi. Jadł łapczywie, aby zdążyć zjeść jak najwięcej.

Tymczasem sala napelniała się coraz bardziej i Dyzma z ulgą stwierdził, że nikt nań nie zwraca uwagi. To go ośmieliło i znowu napełnił swój talerz. Jedząc spostrzegł obok tacę z nalany kieliszkami. Wypił dwa, jeden po drugim. Uczuł się pewniejszym siebie. Gdy sięgnął po trzeci, ze zdumieniem spostrzegł, że sąsiedni kieliszek, podniesiony czyjąś ręką, uderza lekko o jego własny.

Jednocześnie dobiegł jego uszu głos:

– Pan pozwoli, że z nim wypiję?

Obok stał wysoki brunet w mundurze pułkownika i uśmiechał się doń jakoś dwuznacznie.

Podnieśli kieliszki do ust i wypili. Pułkownik wyciągnął rękę.

– Jestem Wareda.

– Jestem Dyzma – odpowiedział jak echo, ściskając dłoń.

– Winszuję panu – pochylił się ku Dyzmie pułkownik – świetnieś pan tego Terkowskiego osadził. Widziałem.

Dyzmie wystąpiły rumieńce na policzkach. „Aha – pomyślał – ten mnie zaraz wyprosi. Ale jak oni to grzecznie zaczynają...”

– Cha, cha – cicho zaśmiał się pułkownik Wareda – jeszcze teraz krew pana zalewa na wspomnienie tego cymbała. Winszuję, panie... Dyzma. Terkowski dawno nie dostał takiej nauczki. Zdrowie pańskie!

Wypili i Dyzma połapał się w sytuacji o tyle, że pojął, iż między owym grubym, Terkowskim, a pułkownikiem musi być na pieńku.

– Głupstwo – rzekł – szkoda tylko... tej... sałaty i talerzyka.

Wareda wybuchnął głośnym śmiechem.

– Pyszny kawał! Ależ pan jest złośliwy, panie Dyzma, pańskie zdrowie!

– Wie pan – dodał po chwili, stawiając kieliszek – że to pierwszorzędny kawał: Terkowski głupstwo, ale szkoda sałaty!

Cieszył się ogromnie, a choć Dyzma nie mógł zmiarkować, o co właściwie temu pułkownikowi chodzi, śmiał się również, mając usta pełne tartinek.

Pułkownik zaproponował papierosa i odeszli pod okno. Ledwie zdążyli zapalić, gdy zbliżył się do nich krępy, siwiejący blondyn o żywych ruchach i szklistych oczach.

– Wacek! – zawołał. – Daj no papierosa. Zapomniałem swoich.

Pułkownik wyciągnął ponownie srebrną papierośnicę.

– Służę ci. Pozwól, że ci przedstawię: pan Dyzma, pan minister Jaszukiński.

Dyzma skurczył się w sobie. Nigdy w życiu nie widział ministra.

Gdy w urzędzie pocztowym w Łyskowie mówiło się o ministrze, było w tym słowie coś tak nierealnego, abstrakcyjnego, coś tak nieskończenie odległego i niedosięgalnego... Z nabożeństwem ucisnęła wyciągniętą rękę.

– Wyobraź sobie – zaczął pułkownik – że pan Dyzma miał przed chwilą incydent z tym bałwanem Terkowskim.

– Ach! To pan? Co ty mówisz? – ożywił się minister. – Słyszałem, słyszałem. No, no!

– Mało tego, uważasz – ciągnął pułkownik – gdy mu gratuluję, pan Dyzma powiada: „Terkowski to głupstwo, ale szkoda sałaty!” Uważasz, sałaty!

Obaj wybuchnęli śmiechem, a Dyzma wtórował im bez przekonania. Nagle minister urwał i powiedział znacząco: – Los rozdętych wielkości. Pcha się, bestia, nachalnie, póki jej kto jasną cholerą w oczy nie zaświeci, a później jest mniej warta od...

– Od sałaty! – podchwycił pułkownik Wareda. Znowu zaczęli się śmiać, a minister, wzięwszy Dyzmę pod ramię, rzekł wesoło:

– W każdym razie, panie Dyzma, szczerze gratuluję. Szczerze. Gdybyśmy mieli w kraju więcej ludzi takich jak pan, drogi przyjacielu, co to umięją nie dać w swoją kaszę dmuchać, inaczej byśmy stali. Potrzeba ludzi silnych.

Zbliżyło się jeszcze kilku panów. Zaczęła się ogólna rozmowa.

Nikodem Dyzma ochłonął. Napełniony żołądek i wypity koniak uspokoiły napięte nerwy. Początkowo zdawało mu się, że biorą go za kogoś innego, noszącego to samo nazwisko (a może jest tu w Warszawie jaki krewny?); później jednak skombinował, że po prostu uważają go za swego, i to pewno dlatego, że rugnął tego jakiegoś Terkowskiego. Kto to może być? Pewno też jakaś figura.

Rozważając sytuację doszedł do wniosku, że jednak najbezpieczniej będzie, gdy zaraz wyjdzie. Niepokoić go głównie zaczynał stojący opodal starszy pan, który wyraźnie śledził go wzrokiem. Odbywał nawet nieznaczące manewry, by zajrzeć Dyzmie w twarz.

– Ki diabeł, czego ten stary ode mnie chce?

Odpowiedź przyszła szybko. Starszy pan zatrzymał przechodzącego kelnera i powiedział mu kilka słów, wskazując ruchem głowy Dyzmę. Kelner skłonił się i zbliżywszy się do Dyzmy, zameldował:

– Ten pan prosi szanownego pana na sekundkę.

Nie było rady. O ucieczce nie mogło już być mowy. Nikodem zrobił trzy kroki i obrzucił siwego jegomościa ponurym spojrzeniem. Ten jednak uśmiechnął się szeroko i zaszczebotał ugrzecznonym głosem:

– Najmocniej, najmocniej wielce szanownego pana przepraszam, ale o ile się nie myłę, to miałem zaszczyt poznać szanownego pana w zeszłym roku na zjeździe przemysłowców w Krakowie. Nie przypomina pan sobie? W kwietniu? Leon Kunicki?

Mówił szybko i nieco sepleniał. Mała nerwowa ręka wysunęła się ku Dyzmie natarczywie.

– Leon Kunicki.

– Nikodem Dyzma. Ale myli się pan, w Krakowie nigdy nie byłem. Musiał to być ktoś do mnie podobny.

Staruszek zaczął przeproszać i sumitować się, przy czym wyrazy padały tak prędko, że Dyzma ledwie się mógł połapać w treści.

Tak, tak, oczywiście, stare oczy niedowidzą, dystrakcja, proszę darować, ale i tak bardzo się cieszy, tu prawie nikogo nie zna, to przykro, nie ma z kim paru zdań zamienić, a nawet miałby tu specjalny interes, dlatego właśnie prosił znajomka o wyrobienie zaproszenia, ale trudno sobie poradzić, gdy się jest starym...

– Nawet właśnie – ciągnął jednym tonem – właśnie się ucieszyłem, że pana spotkałem, i to akurat widząc, że pan w tak bliskich stosunkach jest z naszym czcigodnym panem ministrem rolnictwa, bo myślę sobie, znajomy, zrobi mi łaskę i przedstawi jakoż życzliwie panu ministrowi Jaszuńskiemu. Ale najmocniej, najmocniej przepraszam.

– Nie ma za co.

– O, nie, nie, oderwałem pana od miłej rozmowy z samym panem ministrem, ale, widzi pan, jestem prowincjonałem, u nas na wsi to tak wszystko, proszę wielce szanownego pana, kordialnie, po prostu...

„To się rozgadał” – pomyślał Dyzma.

– Tedy najmocniej przepraszam – sepleniał staruszek – ale swoją drogą mógłby mi pan wyświadczyć serdeczną przysługę, staremu, bo cóż to pana kosztuje.